

© ARCHIWUM WSCHODNIE

Nazywam się Janina Wensław . Moje nazwisko panieńskie brzmi Szymańska . Urodziłam się w 1906 roku , czwartego września . Mieszkam w Białymstoku przy ulicy Drewnianej 2 .

Wywieziona byłam do Rosji w 1941 roku , w czerwcu , tuż przed samym wybuchem wojny z Niemcami . Zabrana zostałam o świcie 21 czerwca . ojna zastała nas na dworcu w Mińsku zauważyłam porozlepiane plakaty informujące o jej rozpoczęciu .

Z mojej ulicy zabrano jeszcze jedną rodzinę - młode małżeństwo z jej matką . Ja ich potem już nie spotkałam , bo po dowiezieniu nas na końcową stację porzadziano nas .

Dziewiątego listopada 1939 roku aresztowano mojego męża i najprawdopodobniej nasze wywiezienie było tego konsekwencją . Przed wojną i potem pracowałam w biurze , w telekomunikacji .

W pracy dyrektor wciąż miał mnie na oku . Przychodził do mojego domu , sprawdzić co się w nim dzieje . Jako osoba "odejrzana" zostałam pierwsza z mojego zakładu pracy wywieziona .

Z domu zabrano nas ciężarówką . Przyszło po mnie dwóch policjantów w granatowych mundurach . Miałam zabrać wszystko , co się da . Zabrałam całą pościel , wszystkie swoje ubrania . To w późniejszym okresie stanowiło podstawę mojego utrzymania .

Jechaliśmy w wagonach bydzących , w okropnych warunkach . Nie było wody a panował wtedy upał . Wagony były zamknięte , bez okien . Wciąż zatrzymywaliśmy się na stacjach .

W wagonie było bardzo wielu ludzi . Raczej oni sobie nie pomagali , a bywało wręcz przeciwnie . Pamiętam jak jedna rodzina miała ze sobą cały wypiek chleba zabrany z własnej piekarni . Ten chleb im pleśniał , ale nie podzielili się z nikim . Zepsute bochenki wyrzucali w nocy do otworu przeznaczonego na wo .

Ludzie umieszczeni byli na pryczach .

Była tylko jedna rodzina z Białegostoku - państwo Wasile-

- wskich .Reszta to byli ludzie ze wsi.

To był duży transport . Liczby wagonów nie widzieliśmy ,bo nie można było wychodzić na zewnątrz.

Był z synkiem, który miał skończone dwa lata. Bardzo nas męczyło to ,że pociąg wciąż się zatrzymywał . Pilnowali transportu uzbrojeni strażnicy .

Dostaliśmy raz zepsuty makaron .Oprócz tego dawali nam boche-  
-nki chleba .

Z ludzi ,którzy jechali razem ze mną pamiętam pana Cąsowskie-  
-go z dwoma córkami / był on z okolic Białegostoku / -staruszka ,  
panią Dąbrowską z małymi dziećmi .Przede wszystkim w transporcie  
znajdowały się kobiety z dziećmi . Mężczyznę spotykało się sporady-  
-cznie ,a jeżeli już ,to był to jakiś wyrostek albo staruszek.

W końcu dotarliśmy na stację ,na której nas wyładowano.  
Padał deszcz. Przyjechały po nas samochody i jakieś takie podwozy  
zaprzężone w krowy . Zawieźli nas do sowchozu , który się nazywał  
Bolszaja Zaimka .

Pozwolono nam przez dwa dni odpoczywać. Rozpakowałyśmy swoje  
bagaże i zaczęliśmy je suszyć. Miejscowe kobiety stwierdziły , że  
je oszukano , albowiem mówiono im , że przywiozą biednych ludzi , z  
kraju , w którym nic nie rośnie ponieważ wszystko spala słońce.

Po tym odpoczynku zabrano nas na pole . Kazano nam  
grabić siano . Miałyśmy jedwabne sukienki i cienkie pończochy  
toteż ostre trawy poraniły nas do krwi .

Mieszkałyśmy przez cały czas / czerwiec ,lipiec ,sierpień,  
wrzesień / w klubie . Nie było tam żadnych sprzętów ,nawet łóżek.

Starsze kobiety nie musiały pracować .Pilnowały dzieci ,  
ponieważ praca trwała od świtu do zmroku .

Kupowałyśmy wiele rzeczy od miejscowych kobiet . Często  
taka transakcja odbywała się na zasadzie wymiany , ponieważ nasze  
rzeczy były dla nich bardzo atrakcyjne.

Pracowaliśmy osobno, z dala od ludności miejscowej. Pilnował nas Fiodor, który z zawodu był weterynarzem i którego ze względów zdrowotnych nie zabrano do wojska. Odnosił się on do nas życzliwie.

Dawano nam zawsze na pole jakiś kawałek mięsa / zwierzęta zabijano w sowchozie / i zboże w ziarnach / pszenicę lub żyto /. Gotowaliśmy to w jednym kotle. Fiodor jadł z nami.

W czasie przerwy oprócz spożycia posiłku każda z nas spała. Praca była ciężka i szybko męczyliśmy się grabiąc i podając siano na stogi. Gdy wracaliśmy był już zmrok.

To siano było niedosuszone, potemgniło w stogach toteż nasza praca szła na marne.

W październiku wyjechałam z tej Bolszój Zaimki do wsi, która się nazywała Ałtajskoje Sieło. Tam mieszkało kilka polskich rodzin. Mieszkania wynajmowaliśmy sobie prywatnie. Mieliśmy całkiem osobną chatę razem z rodziną, która pochodziła z Brańska. Rosjanki były bardzo schludne. Bieliliśmy ściany.

Potem zaczęły krążyć pogłoski, że wywiozą nas do Iranu. To była taka akcja organizowana przez Andersa. Wtedy zaczęły się represje. Zaczęto wzywać Polaków do komisariatu, aby przyjmowali obywatelstwo. Mi się to akurat nie zdażyło. Niektóre ~~sie~~ kobiety były jednak do tego zmuszane.

Potem zaczęła się organizować armia kościuszkowska. Ten pan, z którego rodziną mieszkaliśmy poszedł na ochotnika do wojska. Potem przysyłał nam listy.

Jakoś przezimowałam. Zaczęły coraz częściej pojawiać się pogłoski o tym, że nas wywiozą.

W tym kołchozie, w Ałtajskom Siele, grabiliśmy siano a jak były już śniegi we wrześniu, to w górach ścinaliśmy owies.

Maszyna jechała i zrzucała zboże, które trzeba było wiązać.

Miałam z tym wielkie problemy.

Na wiosnę zdecydowałam się wyjechać. Ludzie mówili mi -

"Pani jest kobietą z miasta, czy nie warto by było przenieść się do Bijska, tam jest już dworzec kolejowy, to tam w razie czego łatwiej do pociągu, pani nas ściągnie."

Wyjechałam razem z jedną parą, która też miała małe dziecko do Bijska. Tam w Bijsku już byli Polacy.

Szofer wysadził nas na ulicy. Zapłaciłyśmy mu wódką.

Spotkałam tam rodzinę z okolic Riałegostoku - państwa Mogielnickich.

Mieszkałam tam u takiej Sowietki, jej mąż też był na wojnie. Miała ona dziewięcioletniego syna, mój syn miał trzy lata.

Bardzo często chodziło się na rynek, żeby coś kupić, albo sprzedać. Tam dowiedziałam się, że założono polską szkołę. Powiedziano mi, że potrzebna jest nauczycielka i żebym się zgłosiła. Stwierdziłam, że nie mam kwalifikacji, tylko przedwojenną maturę.

Przyjęto mnie do tej szkoły. Było mi tam bardzo dobrze. Przebywając wśród dzieci nie byłam taka zgnębiona.

Uczyłam drugą i trzecią klasę: polskiego, matematyki /rosyjskiego - go uczyła Litwinka /. Ta szkoła to był normalny dom za rzeką. Przed obiadem tam się uczyły dzieci miejscowe, a po obiedzie, od godziny drugiej lub trzeciej -my. Z jednej strony siedziała klasa druga, z drugiej -trzecia.

Było tam również przedszkole. Zamieszkała u mnie taka Marysia, lwowianka, która była przedszkolanką. Chodziła razem z moim synem do tego przedszkola.

Szkoła była nieduża. Naszych dzieci było kilkanaście - piętnaście-siedemnaście.

Oprócz tego z takich form życia zorganizowanego była stołówka za rzeką. Byłam tam może ze dwa razy. Wydawano tam zupełnie.

Zima 1942 roku upłynęła mi w Ałtajskim Siele, zima 1943 w Bijsku.

Stosunki z Sowietami zarówno w kołchozie jak i później

w Bijsku, układały się dobrze. Oni do nas nic nie mieli. Jak mogli to nam pomagali, a szczególnie litowali się nad dziećmi.

Zajmowałyśmy się robieniem na drutach. W Bijsku moja gospodyni nauczyła się od nas robienia swetrów.

Była jeszcze druga szkoła - większa -już dziesięciolatka. Tam uczyły nauczycielki z Leningradu -prześledzone tak jak i my bo Leningrad był bombardowany w tym czasie, więc na Syberię wywołano żony wyższych wojskowych. W tej szkole była lekarka, która tam przyjmowała.

Gospodynie w Bijsku miały krowy. Za swetry i ciastki, które robiła moja współmieszkaneczka - Marysia, dostawałyśmy określoną ilość cwiartek mleka. Ciotowałyśmy razem.

Powracając do życia w kolchozie - za całe lato, które tam pracowałyśmy /czerwiec, lipiec, sierpień, wrzesień /- dostałyśmy grosze, zarobek był niewspółmierny do pracy. Na rynku w Altajsku nie można było kupić nawet pół litra masła /masło było topione w litrach / za tę całą wypłatę.

W Bijsku obowiązywało takie prawo, że kto miał dziecko do lat sześciu, to dostawał 200 gram chleba na siebie i na dziecko. To były kartki od Sowieców. Dostawialiśmy je zarówno my jak i ludność miejscowa.

Dzięki tym kartkom i możliwości wymiany swoich rzeczy na żywność, wychowałam swojego syna/byłam tam cztery lata toteż jak wrócił syn miał sześć lat /.

Mój syn chodził do przedszkola. Urządzano tam różne uroczystości na cześć Stalina, Woroszyłowa. Mój syn, jako jeden z najmłodszych często deklamował wiersze na takich akademiach.

Wszelkie nowiny wymieniano w stołówce albo na rynku.

Byłam już właśnie w Bijsku, słyszałam o przypadkach śmiertelnych, jakie miały miejsce w moim byłym kolchozie. Ja sama

nie byłam świadkiem takich wydarzeń

Nie było kontaktów z sąsiednimi koczownikami.

Pamiętam taki epizod już z Bijska. W tej drugiej szkole, na ulicy Turgieniewa, gdzie wykładały same Rosjanki, kiedyś mnie zawiadziła jedna z tych Rosjerek /jej nazwisko było Mickiewicz / i zaprosiła, żebym do niej przyszła. A więc pewnego razu poszłam, aby ją odwiedzić. Okazało się, że jej mąż był Polakiem, dlatego ona chciała ze mną porozmawiać. Mówiła, że to był bardzo dobry człowiek.

W 1937 roku zrobiono czystkę Polaków i jak wzięli jej męża, to przepadł on bez wieści.

Mój mąż został zabrany w roku 1939 i więcej o nim nie słyszałam. Nawet nie wiem gdzie jest jego grób.

Był on nauczycielem i nie miał żadnych kontaktów z wojskiem.

Natomiast bratanek mojego męża, o tym samym nazwisku, był w Armii Kościuszkowskiej, wzięty tu z Białegostoku. Tu były tylko dwa takie wypadki, że wzięli studentów, Polaków i wcielili do wojska, do tej Armii.

Ten kuzyn mi pomógł, poświadczył za mnie. Ja byłam rozłączona z córką. Jak mnie wzięli, to córki nie było w Białymstoku. Córka moja miała wtedy sześć lat, czy siedem, siedem i została z gosposią.

Tylko wojna się skończyła i ja dostałam "wyzow" na wyjazd jako rodzina wojskowa. On stwierdził - złożyłem do ministerstwa wojny, ciociu o twój powrót podanie, ponieważ została mała Krysia. Jakoś się tak trafiło, że to podanie poszło jako jedno z pierwszych i ja w 1945 roku, dwunastego czerwca wróciłam tu na Irewnianą tylko nie mieszkałam na górze, bo tutaj stąd Niemcy wyrzucili gosposię i moją córkę do starego domu, który stał obok.

Wracałam normalnym pociągami, na własny koszt. Jechałam dziewięć dni. Przyjechałam chyba do Białej Podlaskiej, a

stamtąd jechałam wagonem, w którym leżał węgiel już do Białegostoku. Bilet na powrót kupiłam za kołdrę córki i męzowski zegarek, Była to bardzo ciężka podróż, w ścisku, nie można było usiąść ani spać.

Nigdy nie myślałam o tym, że tam zostanę, trudno było przewidzieć jak to się skończy, jednak należało mieć nadzieję. Były wypadki, że ludzie się załamywali. Była tam taka pani z Białegostoku z dwiema córkami, która tak się załamała, że nie wstawała, nie jadła, nie czesała się, także nie wiem jak ona skończyła. Nie można było się w takich sytuacjach załamwać.

Kiedy wróciłam do Polski - mój syn nie otrzymywał stypendium z tego powodu, że byłam wywieziona do Sowietów. Mój syn mówił: mamo, jak to jest, ja mieszkam w akademiku, w pięcioosobowym pokoju. Jeden z moich kolegów jest synem rolnika, drugi rzeźnika itp. wszyscy zamożni, przysyłają im z domu balerony i oni mają stypendium a ja nie.

Kiedy po powrocie poszłam do urzędu miejskiego, ponieważ nie miałam żadnego dokumentu polskiego i powiedziałam, że muszę mieć jakiś dowód, bo wróciłam z Rosji, nie mam żadnych dowodów.

- "A dlaczego pani była w Rosji?"

Odpowiedziałam, że dlatego, bo mnie wywieziono.

- "A za co panią wywieziono?"

Taki smarkacz siedział przy biurku i on mnie pytał za co mnie wywieziono! To ja mówię, że nie wiem za co mnie wywieziono, może pan wie? Bardzo to przeżyłam a nawet ~~o~~ ochorowałam, bo ja myślałam, że wróciłam do Polski, a to było nie wiadomo co.

W Altajskim Kraju a potem w Bijsku działał komitet polski, który miał rozdzielać pomoc dla Polaków.

W Bijsku mnie jako nauczycielce należało się granatowy płaszcz, a ponieważ ja przyjechałam stamtąd, to mi powiedzeli, że

tam się pani należał płaszcz , a ja go nie dostałam ani tam ani tu. Coś z nim zrobiono. Komitet polski współpracował z Sowie-  
- tami.

Ja wróciłam w 1945 roku. Właściwie powrót Polaków miał mie-  
jsce w 1946 roku.

Powracając jeszcze do organizacji szkoły. Była taka pani Grygowa ,która w Białymstoku uczyła w szkole prywatnej pani Woźnickiej. Ona miała jakieś książki ze sobą -to z matematyki ,to z polskiego. Zbierałyśmy się ,ciężko pedagogiczne,kilka nauczycielek i układałyśmy same plan.

Sama się dokształcałam,nauczyłam się rozwiązywać zadania.

Ponoccy nie było .Jak jeden podręcznik gdzieś komuś przysłali to myśmy wszystkie z niego korzystały.Podręczniki|teżeli przychodziły to tylko z Roswy.

Polacy umieli sobie poradzić nawet w najgorszych warunkach.

Jak przyszła jesień,kopanie kartofli ,jarzyny - Sowiecki nie umiały nic ugotować z tych kartofli oprócz kartofli zalanych wodą z cebulą i to wszystko. Myśmy nawet nauczyły je kluski robić - z gotowanych kartofli, z tartych kartofli, placki ziemniaczane.

Pobrze żyliśmy z tubylcami ,mój syn bawił się z ich dziećmi. Ludzie byli tam lepsi niż u nas. Bardziej życzliwi i nastawieni przyjaźnie.



Janina Wensław, z domu Szymańska, zamieszkała w Białymstoku/ui.

Drewniana 2 /

ur. 4.09.1906

wyw. 21 .06. 1941

powrót -12. 0 6. 1945

Wywiad przeprowadziła 28 .04.1992 Małgorzata Szybutowicz